

MAGAZYN  
KULTURALNEGO  
CHAMA

---

WAKACJE  
NA  
WYBRZEŻU

Numer 4



# Wstęp

To już czwarty numer „Magazynu Kulturalnego Chama” i ostatni przed przerwą kanikuły oraz letniego odpoczynku. Zabieramy Was nad polskie morze! Bałtyk – choć zimny, ale magiczny. Tu przez dwa miesiące można plażować, ale również obcować ze sztuką. Scena Letnia w Orłowie Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni, Festiwal Szekspirowski, Międzynarodowy Festiwal Mozartowski „Mozartiana” w Oliwie, Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych „Feta” czy też prezentacje repertuarowe Teatru Wybrzeże to tylko niektóre atrakcje, które oferuje Trójmiasto.

Zapraszamy na dwie ciekawe rozmowy, dwóch szefów odmiennych wydarzeń. Z jednej strony spotkanie z wybitnym śpiewakiem operowym Tomaszem Koniecznym, twórcą pierwszej edycji Baltic Opera Festival. Na przeciwległym biegunie spotkanie z Mikołajem Ziółkowskim, liderem Alter Art oraz twórcą kultowego, o ugruntowanej marce Open'er Festival. Dodatkowo recenzja filmowego hitu sprzed lat, z morzem w tle – *Ostatni prom* w reżyserii Waldemara Krzystka. A na koniec – spotkanie w kuchni z owocami morza i rybnymi potrawami. Udanej lektury i odpoczynku!



*Redakcja*



# SPIS TREŚCI

**1**

WYWIAD Z TOMASZEM  
KONIECZNYM "POWRÓT WAGNERA  
DO DOMU"

**3**

BAŁTYCKIE JEDZENIE  
"CZY TEN PSTRĄG TO ŚWIEŻY?"

**2**

FILM OSTATNI PROM  
"SZCZUR I PIES"

**4**

WYWIAD Z MIKOŁAJEM  
ZIÓŁKOWSKIM - "OPEN'ER, CZYLI  
OPOWIEŚĆ O EMOCJACH  
DZISIEJSZEGO POKOLENIA"



FOTO: WOJCIECH KUBIK

# POWRÓT WAGNERA DO DOMU

WYWIAD Z TOMASZEM KONIECZNYM DYREKTOREM  
ARTYSTYCZNYM BALTIC OPERA FESTIVAL

Świat opery nierozzerwalnie związany jest z jego gwiazdami. To śpiewacy – oczarowujący i urzekający swoim głosem publiczność. Jedną z najjaśniejszych pereł owego kosmosu muzyki jest polski bas-baryton **Tomasz Konieczny**. Rozmawiamy o miłości do Wagnera i Opery Leśnej w Sopocie, gdzie już wkrótce odbędzie się pierwsza edycja **Baltic Opera Festival**.

**Benjamin Paschalski:** Skąd u Pana fascynacja Ryszardem Wagnerem? I oczywiście od razu drugie pytanie – czy pomysł na festiwal w Operze Leśnej zrodził się za sprawą niemieckiego geniusza muzyki?

**Tomasz Konieczny:** Wagnerem zafascynowałem się podczas mojego pierwszego wykonywania koncertowego *Pierścienia Nibelunga* w Irlandii. Mieszkałem już wtedy w Niemczech i otrzymałem propozycję, aby zaśpiewać cały *Ring* z National Youth Orchestra of Ireland, pod dyktando Alexandra Anisimova. W ciągu 3 tygodni przygotowaliśmy wszystkie cztery operowe części. Niesamowite było to, że młodzi ludzie, przygotowując prezentacje, zdierali sobie palce, usta, wszystko czym mieli okazję grać. To było dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Nie zaśpiewałem w tym projekcie dużych partii, były to raczej role początkujące dla młodego artysty: Gunthera w *Zmierzchu Bogów* i Fasolota w *Złocie Renu*. Bardzo szybko okazało się, że mój głos jest stworzony do muzyki niemieckiej i że mogę w niej sporo osiągnąć. Tak się też stało i w tej chwili jestem jednym z niewielu ważnych śpiewaków obsadzanych w partii Wotana na świecie.

W 2009 roku miałem okazję zaśpiewać podczas jubileuszu stulecia powstania Opery Leśnej. Było to – koncertowe – wykonanie *Złota Renu*, przygotowane pod kierunkiem Jana Lathama-Koeniga. Udało nam się – bez żadnej, szczególnej promocji – zapełnić połowę widowni. 2500 widzów wzięło udział w tym wydarzeniu! Wydaje mi się, że nie ma w Polsce teatru operowego, który miałby tak liczną widownię. To było dla mnie pierwsze doświadczenie związane z tym miejscem. Już wtedy byłem zafascynowany jego akustyką.



Kulturowy  
Klas

*Baltic Opera Festival*, którego pierwsza edycja odbędzie się w tym roku w Sopocie, nie jest kontynuacją festiwalu Wagnerowskiego, który takim był praktycznie od 1921 roku. Wcześniej, od momentu powstania w roku 1909, nie wystawiano Wagnera. Przez 12 lat grano kompozycje romantyczne śpiewane po niemiecku. Nie było w tym nic nadzwyczajnego w ówczesnym czasie, ponieważ Sopot był niemieckim miastem w przeciwieństwie do Wolnego Miasta Gdańsk i do Gdyni – polskiego siedliska. To było bardzo ciekawe zderzenie kultur. Rozumiem, dlaczego po Drugiej Wojnie Światowej władze nie chciały kontynuować Festiwalu Wagnerowskiego, tym bardziej że ostatni spektakl odbył się w Operze Leśnej w 1944 roku. Naziści propagandowo go zdominowali tak jak i wszystkie inne tego typu wydarzenia w Niemczech. Ciekawostką jest to, że zdarzały się także i lata, w których do Bayreuth – domu operowego Wagnera – ściągano artystów z Sopotu. Dlatego bardzo często festiwal nazywany był Bayreuth Północy. To nad czym pracujemy – w ramach *Baltic Opera Festival* – to jest reaktywowanie formuły operowej. W nazwie nie nawiązujemy np. do Bayreuth Północy czy do samego Wagnera. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że śpiewam muzykę niemiecką – głównie twórcy *Ringu* – oraz że próbuję tę muzykę popularyzować w Polsce. Uważam, że jest jej zdecydowanie za mało. Dopóki będę miał wpływ na decyzje repertuarowe festiwalu, to będę oczywiście zabiegał o to, żeby wystawiać Wagnera.

Wydarzenie miało mieć pierwszą edycję w 2021 roku. W czasie pandemii artyści mieli dużo wolnego czasu, gdyż większość projektów została odwołana. Zająłem się tą inicjatywą także dlatego, że uważałem, że trzeba poszukiwać nowych, odmiennych wyzwań. W moim wieku człowiek zastanawia się nie tylko nad kontynuacją pracy artystycznej, ale także nad podejmowaniem prekursorskich działań, po których pozostanie ślad. Ten czas pandemiczny utwierdził mnie w przekonaniu, że Opera Leśna jest wymarzonym obiektem, z otwartą przestrzenią, w której w czasach zarazy można wykonywać spektakle operowe. To spotkało się z dużym zainteresowaniem i wsparciem ze strony władz państwowych i samorządowych, które także chciały reaktywować festiwal. Gdy planowaliśmy wystawienie *Hollendra Tułacza* w 2021 roku, to miałem sam go reżyserować i jednocześnie zaśpiewać. Niestety z uwagi na przesunięcia czasowe i moje zobowiązania m.in. z Bayreuth Festspiele, w obecnym roku nie jest to już możliwe. Dlatego w partii *Holendra* wystąpi znakomity polski śpiewak Andrzej Dobber. Dyrygować będzie Marek Janowski – wybitny i niezwykle doświadczony dyrygent, który dwukrotnie nagrał cały *Ring*. Także pozostali wykonawcy to światowe nazwiska. Jednym z celów festiwalu jest również konsolidowanie środowiska operowego z miast portowych basenu Morza Bałtyckiego. Do tego poniekąd nawiązuje też nazwa – *Baltic Opera Festival*. W planach mamy nawiązać współpracę z Estonią, Litwą, Łotwą, Danią oraz Szwecją. W tej edycji pozyskaliśmy patronaty dwóch Prezydentów: Rzeczypospolitej Polskiej – Andrzeja Dudy i Republiki Federalnej Niemiec – Franka-Waltera Steinmeiera. Zależy nam, aby podkreślać wyjątkowość tego miejsca, a w szczególności jego wielokulturowość. Chcemy budować kulturowe mosty.

**BP:** Wiem, że posiada Pan doświadczenie aktorskie, które nie jest zbyt częste wśród śpiewaków. Czy nie posiada Pan pokusy reżyserskiej związanej z wystawieniem *Pierścienia Nibelunga* – w szczególności w przestrzeni Opery Leśnej?



**TK:** Niestety, nas z pewnością przez najbliższe lata nie będzie stać na wystawienie całego *Ringu*. To jest jeden z powodów, dla którego zajęliśmy się przygotowaniem *Holendra Tułacza* – ważnej pozycji w moim repertuarze. Śpiewam ją w najważniejszych teatrach na świecie m.in.: w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Lyric Opera of Chicago czy Bayerische Staatsoper w Monachium. Z pewnością jest to jedna z najważniejszych ról w moim życiu. Moje doświadczenie aktorskie, wynika przede wszystkim z tego, że byłem za młody, aby studiować reżyserię, ale zawsze chciałem nim być. Gdzieś po drodze brałem udział w produkcjach telewizyjnych, w których występowałem jako aktor, a później okazało się, że moja droga związana jest jednak z karierą wokalną. Uściślając kwestie reżyserskie – jestem jednym z autorów koncepcji premiery tegoż lata. Będę współpracował z dwójką reżyserów. Pierwszy z nich to Łukasz Witt-Michałowski, prowadzący Scenę InVitro w Lublinie. Znamy się od lat, wspólnie studiowaliśmy na Wydziale Aktorskim w szkole filmowej w Łodzi. Pracowaliśmy nad wieloma projektami i dlatego był oraz jest on dla mnie naturalnym partnerem. Druga osoba to Barbara Wiśniewska – wieloletnia asystentka Mariusza Trelińskiego w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej w Warszawie. Dopiero co przygotowała *Trubadura* Verdiego w Szczecinie. Z kolei za koncepcję scenografii będzie odpowiadał Boris Kudlička, a za jej wykonanie Natalia Kitamikado, kostiumy zaprojektuje Dorota Roqueplo.



**BP:** Czy *Baltic Opera Festival* ma zakusy, aby stać się drugą Bregencją? Analogie są bardzo podobne – las-jezioro, drugie przedstawienie w domu festiwalowym. Co prawda tamten festiwal trwa około półtora miesiąca – a w pierwszym roku wydarzenie sopockie będzie trwało zaledwie cztery dni.

**TK:** Niestety na razie nie mamy wystarczających środków, aby w tym pierwszym roku móc wystawić większą liczbę spektakli. Ale w przyszłości będziemy się starali, aby tak było. Szukamy współproducentów wydarzenia zarówno w kraju jak i za granicą. Myślę, że każda inicjatywa musi najpierw powstać, aby ukazać swoje walory. Jako dyrektor artystyczny jestem odpowiedzialny za ułożenie repertuaru i obsady, z tego powodu, że znam wiele osób w środowisku. Powołaliśmy Komitet Honorowy Festiwalu, do którego zaprosiliśmy wiele znakomitych osób m.in. Petera Gelba – dyrektora generalnego Metropolitan Opera, Dominique Meiera z La Scali, Andreama Homokiego dyrektora Opery w Zurychu, Katharinę Wagner szefową Bayreuth Festspiele, Bogdana Roscica z Opery Wiedeńskiej, Alexandra Pereirę szefa Maggio Musicale we Florencji oraz z naszego kraju dyrektora Teatru Wielkiego-Opery Narodowej Waldemara Dąbrowskiego, a także Stanisława Leszczyńskiego, Joannę Wnuk-Nazarową i Elżbietę Penderecką. Nie jest to rada programowa, którą może w przyszłości utworzymy, ale patronat osób, które wspierają inicjatywę. Jestem z tego osobiście bardzo dumny.



**BP:** Ten model patronacki jest dość nietypowy i oryginalny. To bardzo dobry sposób myślenia o kulturze, w którym jedno nazwisko wspiera inne. A kto zajmie się organizacją festiwalu?

**TK:** Głównym organizatorem jest Opera Bałtycka z Dyrektorem Romualdem Wiczą-Pokojskim na czele. Współorganizatorami wydarzenia – Stowarzyszenie Dal Segno i Narodowe Centrum Kultury. Dyrektorem Festiwalu jest Rafał Kokot, a za produkcję odpowiada dyrektor Paweł Marzec. Dzięki takiemu szerokiemu współdziałaniu możemy dobrze planować i realizować zamierzenia, w tym efektywnie pozyskiwać środki. Od początku podkreślam, że musimy przede wszystkim zaprezentować produkt najwyższej jakości. Tego nauczyłem się pracując za granicą i to jest moim zdaniem kluczowe przy realizowaniu wszelkich inicjatyw. Zależy nam także na odkryciu na nowo tego szczególnego obiektu – Opery Leśnej. Po remoncie pięknie się prezentuje zarówno scena jak i kanał orkiestrowy. Liczę na to, że będą tam dobre warunki do pracy.

**BP:** A ile kosztuje organizacja takiego festiwalu?

**TK:** Niestety, trudno określić mi precyzyjnie koszty. Przy planowaniu budżetu festiwalu w 2021 roku szacowaliśmy kwotę ok. 6,5 mln zł, przy jeszcze jednym dodatkowym spektaklu. Obecnie jest to z pewnością wyższa suma z uwagi na sytuację ekonomiczną w Polsce i na świecie. Wiem, od swoich współpracowników, że np. koszty produkcji scenografii czy kostiumów wzrosły o 200-250%.

**BP:** Dziękuję za rozmowę i życzę, aby wszystko udało się zorganizować zgodnie z planem. By Opera Leśna stała się letnim domem muzyki poważnej z tłumem odwiedzającej publiczności, który po spacerze na molo będzie pielgrzymował na wzgórze sopockie niczym na turniej śpiewaczy w *Śpiewakach norymberskich* Wagnera.

**Rozmawiał Benjamin Paschalski**



# „SZCZUR I PIES”


Film Waldemara Krzystka *Ostatni prom* swoją premierę miał 1 grudnia 1989 roku. Dziwny to czas dla polskiej kinematografii. Znikła instytucja cenzury (Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk), która choć formalnie jeszcze cztery miesiące istniała, to *de facto* nie pełniła już swoich dawnych politycznych zadań, co z perspektywy wolności twórczej mogło wydawać się kursem ku normalności. Problem jednak w tym, że z gospodarczych realiów realnego socjalizmu filmowcy zostali przeniesieni w nowy ustrój gospodarki wolnorynkowej z radykalnie innymi od systemu nakazowo-rozdzielczego zasadami. Mecenat państwowy, tyleż bezkonkurencyjny, co niezbędny z powodów ideologicznych i finansowych, wyczerpał swoje możliwości inwestycyjne.



FOTO: PAJCHEL RENATA

Wielu powie, że w Polsce schyłku roku 1989 były pilniejsze potrzeby od dokończenia filmu o niechęci rodaków do ludowej ojczyzny. Wędrówka narodu, której celem było życie wyjęte poza socjalistyczny eksperyment społeczny, zdawało się być podstawową bolączką władz trzech ostatnich dekad PRL. Uciekali przed czymś czy może bardziej uciekali do czegoś. W obrazie Krzystka, grający kapitana promu Leon Niemczyk, w czasie rozmowy z oficerem Służby Bezpieczeństwa odpowiada mu na uwagę o „zwiewających szczurach”: „szczury wieją, ale to są wykształcone szczury”. Wiemy z historii, że rodakom wyjeżdżającym za granicę często w różnej formie towarzyszyli funkcjonariusze SB. Pozostając w poetyce ludowych powiedzeń, szczury były pilnowane przez psy, aby nie uciekały z „najweselszego baraku w obozie”. Oczywistym jest, że obraz o opuszczaniu Polski przez zniechęconych doń ludzi nie mógłby zyskać akceptacji w oczach, stojącej na straży socjalistycznego wizerunku, państwowej cenzury. Film Krzystka znalazł się jednak w dwuznacznej rzeczywistości politycznej. Nikomu nie zależało już na wstrzymywaniu zdjęć, a jednocześnie ich zakończenie było państwowym instytucjom i rodzącemu się rynkowi zupełnie obojętne. W efekcie zyskujemy produkt nie do końca przypominający Scenę Faktu w Teatrze Telewizji, z kojarzącą się z epoką Solidarności muzyką Przemysława Gintrowskiego. Tak jak rok 1980 przywołuje w naszej pamięci przede wszystkim wydarzenia na Wybrzeżu, tak początek grudnia 1981 zdominowany jest w polskiej świadomości historycznej przez 13 grudnia i następujące po nim fakty. Czy karnawał Solidarności powstrzymał exodus Polaków? Nie. Czy symulował namiastkę wolności? Tak. Widać było tego niewiele jak na potrzeby zabiedzonego narodu.





Przyjrzyjmy się owej symulacji. Grający główną rolę nauczyciela i opozycjonisty Marka Ziarno – Krzysztof Kolberger, kupuje w jednym z Domów Towarowych za talony na makulaturę (odkupione na czarnym rynku) torbę podróżną. *Polska Ludowa* oferuje więc formę bez treści, bo w realiach gospodarczych państwa nie ma niczego, co można do niej włożyć. Jest ocet, tylko mięsa brak. Nie ma oliwy, nie można zrobić winegretu. Z resztą nie ma do czego. W czasie lekcji języka polskiego uczniowie Ziarny rozmawiają o opuszczaniu Polski. Argumentom, że jak wszyscy wyjadą nie będzie komu zostać, towarzyszą kpiny z doganiana przeciętnego poziomu życia na Zachodzie za 132 lata. Jeden z uczniów w pracy domowej używa słów: „to polski bida-patriotyzm jest prymitywny i głupi, a nie wyjeżdżający ludzie”. Polska literatura, pełna bohaterskich postaw, boleśnie zderzyła się z pragnieniem przyzwoitego życia, bez naiwnego poświęcenia się dla abstrakcyjnych idei. Ziarno, bohater romantyczny, powróci promem do ojczyzny, do uczniów, którzy nawet docenią tę postawę. Płynmy dalej.

Transatlantyk „Stefan Batory” czy promy podróżujące do portów bałtyckich markowały luksus Zachodu, jaki w PRL był na kartki albo talony. Z dostępem do markowego alkoholu, dań mięsnych i coca-coli symulował świat, którym *Polsce Ludowej* nigdy nie udało się być. Wożąc również zagranicznych turystów, PRL wstydził się być tym, czym w istocie się stał, więc udawał kogoś innego. Największy paradoks PRL-u polegał na tym, że ludzie nie mieli nic, a i tak mieli za dużo, dlatego niezbędne były cykliczne podwyżki cen na podstawowe artykuły konsumpcyjne, czego historycznym odbiciem był choćby strajkujący Gdańsk w 1970 roku czy Radom w 1976 roku. W *Ostatnim promie* młody Artur Barciś ma wpięty w klapę znaczek „1970” z białą-czerwoną flagą, co jest dowodem na zmianę politycznego klimatu w Polsce. Symulacją jest wreszcie sama socjalistyczna Polska. Wydaje się, że nie starczyłoby wyobraźni, aby wymyślić realność realnego socjalizmu. A jednak nie było to nierealne. Tu znowu szczury. Jeśli uznamy PRL za laboratorium, to społeczny eksperyment ze szczurami w klatce (czy bardziej baraku) miał dowieść granic tego, co można wytrzymać. Można było przeżyć, ale nie dało się żyć. Każde pozostawione wyjście z klatki było dla zwierzęcia drogą ucieczki. To że ojczyzna te gryzonie edukowała było w zasadzie formą sabotażu. Jeśli podniesiesz stan świadomości szczura, klatka natychmiast przestanie mu się podobać. Zaczynało brakować szczurów-oportunistów, bo kończyły się korzyści. Edukowano więc nie do tego, czym ten system w swej żałosnej istocie był. Ilustruje to jeden z końcowych dialogów powracających pasażerów *Ostatniego promu*, którym nie udało się opuścić statku po ogłoszeniu stanu wojennego:

„- w Polsce naprawdę trzeba umieć żyć, Polskę trzeba umieć kochać.  
- to niech się Pan napije, będzie Pan ją kochał jeszcze bardziej”.



Tylko odurzony szczur mógł mężnie znosić to, czym ta klatka na jego oczach się stała. Nie udało się niestety oduczyć go jeść, więc ostatecznie eksperyment się nie udał. Filmy o polskim Wybrzeżu często pokazywały nominalny świat wolności na tle wydarzeń historycznych, które były takiej swobody zaprzeczeniem. Poza *Ostatnim promem* Waldemara Krzystka, w najnowszej, XXI-wiecznej historii polskiej kinematografii to choćby polityczne obrazy: *Czarny Czwartek*. *Janek Wiśniewski padł* Antoniego Krauze obrazujący gdańskie wydarzenia Grudnia 1970 czy *Wałęsa. Człowiek z nadziei* Andrzeja Wajdy. Inny film to *Wszystko, co kocham* Jacka Borcucha. W tym wypadku mamy historię młodzieży na wybrzeżu, która zakłada zespół punkowy. Mimo że za chwilę zaczyna się stan wojenny, to podstawowym dylematem bohaterów pozostają rozterki związane z młodzieńczą miłością. Takie ekranizacje w pewien celowy sposób „szargają” naszymi pokrwawionymi kartami historii, pozostawiając je za zasłoną indywidualnych przeżyć i doświadczeń. Wynoszą banal ludzkich potrzeb na pierwszy plan. Najczęstsze skojarzenia z wybrzeżem to słońce i morze. Dosłowny powiew wolności, do której duża część Polaków uciekała od codzienności.

Czy polski „wyjazd nad morze” stracił na atrakcyjności w 1981 roku? Albo w 1939 roku? W filmie *Jutro idziemy do kina* Michała Kwiecińskiego bohaterowie idą zachwyceni bałtycką plażą, a nad ich głowami lecą niemieckie Junkersy. Marcin Zaborski w swojej książce *Lato'39. Jeszcze żyjemy* przywołuje jak sam pisze: „smaki i zapachy ostatnich przedwojennych miesięcy”, gdzie przyzwyczajenia rodaków zderzały się z grozą zbliżającej się wojny. Taka zawsze była Polska i Polacy.

Uciekali do świata beztroski, wolności której wyrazem były piaszczyste plaże i zimne Morze Bałtyckie. Gdzieś zawsze toczyła się narodowa historia, ale wolność negatywna, a więc ucieczka od wszelkich powinności, od każdego „muszę”, właśnie na wybrzeżu materializowała się najpełniej. Stąd także potencjalnie było najbliżej do wolnego świata, od którego oddzielała nas ostatnia przeszkoda. W tamtą stronę płynęły statki wolności.

Ucieczka do wolności historycznie przykryta została u nas przez ucieczkę od wolności. Ludzie płynęli w nieznane przed 1989 rokiem, tyle że po przełomie płynęli tak również po wodach terytorialnych. Nikt już nie dawał azylu politycznego, przestano Polaków otaczać opieką zagraniczną. Rozpoczął się nowy eksperyment z nadmiarem wolności, co wielu zupełnie zwyczajnie przerażało. Skupienie uwagi przez państwo zastąpiono absolutnym brakiem uwagi. Powrócą strajki, ale nikt już nie będzie upominał się o postulaty polityczne. Ostatni prom stanie się znowu pierwszym promem, potem kolejnym. Pozostaną tu na wiele lat bida-patrioci. Partia komunistyczna straci monopol, odda władzę. Uwłaszczy się nomenklatura. W tym opowieść Waldemara Krzystka stała się profetyczna.

**[EL Kyōju]**

# BAŁTYCKIE JEDZENIE "CZY TEN PSTRĄG TO ŚWIEŻY?"



Spotkaliście się w menu nadmorskich knajp z halibutem czy kerguleną? Kelner proponował pstrąga? Bałtyckie jedzenie może być cudowne, jednak warto pamiętać o mądrych wyborach (wspominane nimi nie będą). Zawsze, ale to zawsze wybierajmy rzeczy sezonowe i lokalne, wtedy o zawód będzie dużo trudniej. Zastanawiając się nad tekstem do tego numeru myślałem o kilku poleceniach, może historii jedzenia na wybrzeżu. Wyszedł tekst o zachwycie i łapaniu chwili nad brzegiem morza. Chciałbym zaprosić Was do tej opowieści brzegiem morza. Zapraszam do łapania chwil.



Na polskim wybrzeżu, gdzie woda spotyka ląd, tam, gdzie niebo łączy się z morzem, odkrywam kulinarną arkadię, w której rybne aromaty otwierają drzwi do niezwykłych doznań. Tutaj, gdzie opowieści fal mieszają się z opowieściami ludzi, smaki nabierają barw i zapachów, jakby wiersze wielkich pisarzy stawały się rzeczywistością.

Wędrując po wybrzeżu, słyszysz echo słów Conrada, jakby z głębin wydobywały się: "Morze miało dla mnie wszystko, czego potrzebowałem". W każdym kęsie odkrywam ukryte bogactwa, które przenoszą mnie na pokład statku. Połowy rybaków, ich siatki pełne łowów, jakby opisywały niesamowite historie tu i teraz. Kiedy kosztuję soczystego, delikatnego dorsza lub smakowitego łososia, wyobrażam sobie jak wolnym mogę być przez tę sekundę, minutę, chwilę.

Smak przygody i tajemnic morza staje się rzeczywistością na moim talerzu. Idąc malowniczym brzegiem, mijam nadmorskie miasteczka, w których powiewają flagi i unosi się zapach morskiej soli. W tym momencie przypominam sobie pewne słowa o bogactwie królestwa Neptuna: "Morze jest rozkoszą dla zmysłów, dla oczu i dla podniebienia". Siadam zamawiając kremową zupę rybną w pobliskim barze. Ta, podana w zwykłym talerzu nad niezwykłym brzegiem zimnego Bałtyku otwiera drzwi do magicznego świata smaków i aromatów. Wielość składników, delikatnie pikantna nuta bulionu i wspaniałe, kruche kawałki dorsza to wyjątkowe przeżycie.

Dorsz, śledź i wszelkie morskie skarby, jakby były bohaterami opowieści o życiu i miłości, które odkrywam w każdym kęsie czy łyku. To nie koniec tej kulinarnej wyprawy. Przy wejściu do urokliwych restauracji, gdzie powiewają zasłony i migoczą świece, czuję się witany na bankiecie smaków. Podobno jedzenie nie ma znaczenia, ale to przecież jedzenie znaczy.

Wszystkie morskie stwory to bohaterowie mojego spektaklu, w którym każde danie to akt cudownych doznań. Chcę ukazać ich tajemnice, lecz to nie do opisanie. Na moim talerzu rozgrywa się poetycka rywalizacja, w której smaki i zapachy stają się słowami, a ich kompozycja to najpiękniejsze wersy.

Tak, na wybrzeżu odkrywam nie tylko morze, ale także jego skarby, które opowiadają nam historię tego miejsca. To kulinarne doświadczenie, to podróż przez prozę, poezję i gawędę, które ukazują, że smak to magia, która zatrzymuje czas i ożywia zmysły. Tutaj, nad Bałtykiem, gdzie opowiadanie o kulinarnych przeżyciach spotyka się z naturą, każdy kęs jest podróżą w nieznanie i odkrywaniem tego, co naprawdę znaczy smakować życie.

Bałtyku....

[KulturalnyCham]



# OPEN'ER, CZYLI OPOWIEŚĆ O EMOCJACH DZISIEJSZEGO POKOLENIA

FOTO: BLANK/ ALTER ART

WYWIAD Z MIKOŁAJEM ZIÓŁKOWSKIM – SZEFEM AGENCJI  
ALTER ART, PROMOTOREM KULTURY, POMYSŁODAWCĄ I  
ORGANIZATOREM OPEN'ER FESTIVAL

**Marcel z Kraśnika:** Wchodząc na spotkanie z Tobą do siedziby Alter Artu słysząc dźwięki radia. Jakiej słuchasz muzyki, Mikołaju? I co robisz w wolnym czasie?

**Mikołaj Ziółkowski:** W moim życiu jest bardzo dużo muzyki, w zasadzie lubię wszystkie jej gatunki i rodzaje – od pop'u, przez rock po post-jazz. Nie ma na Open'erze takiej artystki czy artysty, którego bym wcześniej nie znał. Nie mam ulubionego utworu, ulubionego koncertu. Jest wiele takich, które były z różnych względów dla mnie ważne, ale nie wyróżniam tych „naj”. Staram się nieustannie poznawać nowe rzeczy czy to niszowe, czy masowe. Nie promuję złej muzyki w znaczeniu: źle zagranej, źle skonstruowanej, prymitywnej na poziomie warstwy muzycznej i tekstowej, jak np. disco-polo. Ale jak każdy mam swoje ulubione kawałki, które słucham przez jakiś czas bez przerwy. Każdego tygodnia jednak pojawia się coś nowego. Natomiast cieszę się z tego, że bardzo lubię współczesną muzykę. I czuję się w tym doskonale. Wywodzę się z muzyki alternatywnej, rockowej, punk rockowej i muzyki *indie*, ale uwielbiam hip-hop. A wolny czas? Szczególnie w ostatnich latach nie mam go zbyt wiele. To co robię jest moją pasją, co powoduje, że zajmuję tym też w ... „wolnym czasie”. Może poza chwilami, które poświęcam moim dzieciom.

**MzK:** Ale wracasz do starych płyt?

**MZ:** Mam wiele z lat 90. XX w. i wracam do nich raczej rzadko. Nie odsłuchuję ich też od deski do deski. Nie przywiązuję się raczej do jednego przeboju, piosenki, albumu, co nie oznacza, że nie mam ulubionych. Ale więcej czasu poświęcam na nowe rzeczy, nowe płyty.



**MzK:** Dlaczego w dniach od 28 czerwca do 1 lipca warto przyjechać na koncerty do Gdyni? Co nas zaskoczy w tym roku? Jakie niespodzianki przygotowaliście dla uczestników?

**MZ:** W tym roku warto przyjechać na Open'era, ponieważ mamy absolutnie genialny, spektakularny *line-up*, czyli Arctic Monkeys w zestawieniu z Kendrickiem Lamarem, z SZĄ, Lizzo, Labrinthem, Machine Gun Kelly, girl in red, Christine And The Queens, Thundercat, Sylvan Esso, LoveJoy, Caroline Polachek, Metro Boomin czy Queens Of The Stone Age i wielu innych, których nie można przegapić. Poza tym zaplanowaliśmy wiele wydarzeń towarzyszących. Z pewnością pojawi się rozbudowany projekt „Kultura na Open'erze”. W tym roku motywem przewodnim będzie wolność, problemy i prawa kobiet, np. w przestrzeni społeczno-kulturalnej w „Let's talk” czy organizacji pozarządowych (NGOs). Nie zapominamy też o polskich artystach. Pokazujemy najważniejsze wydarzenia muzyczne, gwiazdy, ale i to, co nowe i fascynujące na tym rynku. Na głównej scenie Open'era będzie można zobaczyć „Club 2020”, czyli czołówkę artystek oraz artystów hiphopowych polskiej sceny i to będzie jedyny koncert w ramach tego projektu. A z drugiej strony to zawsze jest i będzie miejsce dla polskich artystów, którzy grają po raz pierwszy, są wielkimi odkryciami, talentami i jest to dla nich sposób pokazania się.

**MzK:** Jesteś pomysłodawcą agencji eventowej oraz twórcą pierwszego w takiej skali w Polsce festiwalu Open'er. Bowiem w kręgu państw dawnego bloku wschodniego nie można zapominać o innych wielkich wakacyjnych wydarzeniach muzycznych takich, jak: węgierski Sziget Festival, Ultra Europe w Splicie w Chorwacji czy Exit Festival w serbskim Novim Sadzie. W Polsce zaczęło się od pierwszej edycji w 2002 r.?

**MZ:** Tak, to prawda. Choć nasz Festiwal niestety nie odbył się w 2020 r. i nie odbyła się pełna wersja w 2021 (jedynie wersja parkowa) – więc w tym roku jest to 20 edycja. Nie chcemy jednak celebrować okrągłej rocznicy zbyt mocno, bo kiedy tak się czyni – często wzbudza to zbyt wiele oczekiwań. Dlatego mamy zasadę, że celebруем nieokrągłe rocznice, np. 17-stą.

**MzK:** Skąd w ogóle pomysł na taki event jak Open'er?

**MZ:** Moje korzenie tkwią w kulturze alternatywnej, którą od końca lat 90. XX w. współtworzyłem. Ten swoisty drugi obieg kultury funkcjonował wówczas bez Internetu (choć trudno to sobie dziś wyobrazić), z inną filozofią i sposobami wydawania muzyki, istniał obok raczkujących wielkich wytwórni. Moim marzeniem stało się wtedy zbudowanie nowoczesnego, europejskiego festiwalu muzycznego. W Polsce takich nie było. Tradycja festiwali w naszym kraju, np. Jarocina, była inna. Wywodziła się z innego nurtu, była bardziej wydarzeniem społeczno-politycznym. Z Open'erm musieliśmy się wbić w ten pień festiwali już istniejących na rynku europejskich wydarzeń i stworzyć swoją wersję z implementacją lokalnych elementów. Wzorem były anglosaskie, letnie festiwale. Obecnie sfera działań, nie tylko w ramach samego Open'era, ale i Alter Art jest szeroka. Organizujemy koncerty od klubów po stadiony, od muzyki, kina, przez całą gamę wydarzeń teatralnych, po live *entertainment*. Stąd moja fascynacja bycia promotorem muzyki, kultury istnieje od zawsze, od chwili, kiedy zorganizowałem mój pierwszy koncert. A to było dawno temu, w poł. lat 90. XX w.

**MzK:** Byliście pierwsi w wielu wymiarach: w skali festiwalu w kraju, pierwsi w stosowaniu opasek festiwalowych na rękę, zastosowaliście bezgotówkowy system rozliczeń czy też w sprzedaży biletów bez znanego do końca programu. W 2009 r. wydłużyliście to wydarzenie do czterech dni. Co uważasz za swój największy sukces?

**MZ:** Udało się nam zbudować festiwal na bardzo dobrym, nie tylko europejskim, ale i światowym poziomie. Tak, jak cały Aler Art, jest to sukces wielu ludzi, nie jednostki. Na samym Open'erze pracuje ok. 8 tys. osób. Poza tym przygotowania trwają cały rok. Warto pamiętać, że duże i bogate państwa mają wielkie rynki muzyczne, rozległą infrastrukturę. Mam na myśli efekt skali, bowiem muzyka jest wszędzie, również w państwach niezamożnych. W tym kontekście jesteśmy ewenementem. Za przykład może służyć tegoroczny open'erowy koncert SZy – jednej z pięciu najpopularniejszych artystek w USA – który jest jedynym jej festiwalem w Europie w tym roku, przy tak zbudowanym rynku. To wydarzenie, które jest w superlidze światowej, co w Polsce w wielu dziedzinach się nie zdarza

**MzK:** Co się zmieniło w czasie tych 20 lat na Open'erze?

**MZ:** Trochę trudno o tym się rozmawia w 2023 r. Miałem swoją opowieść przed pandemią i teraz mam inną. Jesteśmy w momencie odbudowy nie tylko w ramach rynku festiwalowego, ale też ogólnie kultury, pola muzycznego czy filmowego. Wracamy na dobre do krwiobiegu festiwali, tak jak nasza publiczność. Okres pandemii Covid-19 był czasem bardzo trudnym i wymagającym, który na długo odcisnął swoje piętno. Co się zmieniło? Wszystko! Warto choćby powiedzieć, że pierwszy Open'er odbywał się przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Skala zmian i działania we wszystkich obszarach teraz i wówczas jest nieporównywalna. To tak, jakby porównać Polskę sprzed 20 lat i obecnie. Ale nieustannie jest to gigantyczne wyzwanie. „Festiwalizacja” kultury i znaczenie festiwali są dużo większe, niż 2 dekady temu. To zupełnie inna rzeczywistość niż wcześniej. Ten rynek powiększył się wielokrotnie – nie tylko w wymiarze liczby organizowanych wydarzeń, ale również w zakresie infrastruktury koncertowej.

**MzK:** Jak skusić wielką gwiazdę by przyjechała właśnie do Was – tu nad polskie wybrzeże? Jak Ty to robisz?

**MZ:** To jest niezwykle trudne na wielu poziomach. Warto szukać rzeczy dodatkowych, niecodziennych wyjątkowych, spektakularnych. To nas wyróżnia. To bardzo dużo pracy, ale nie bez znaczenia są również gigantyczne nakłady finansowe, koszty, honoraria. Wszyscy to odczuwamy. Tanio już było. W tym wypadku duże znaczenie ma też pozycja festiwalu, jego renoma, która skłania artystów, by do nas przyjechali.

**MzK:** Jaka publiczność przyjeżdża na festiwal?

**MZ:** W takich wielkoskalowych festiwalach, jak Open'er bierze udział ok. 150 tys. osób, a podstawą tej grupy są ludzie młodzi. Ponad 80% z nich stanowi generacja „Z”. Core-target naszego festiwalu to osoby w wieku między 18-34. Choć mamy też świetną, wierną publiczność, która przyjeżdża od 20 lat. W przypadku największych festiwali, tj. Coachella, Woodstock, Roskilde, Glastonbury normą jest odpływ publiczności, co wiąże się z wiekiem i jest naturalnym procesem. Open'er jest inny. U nas zdarzają się też legendy i uznane gwiazdy. Świetnym przykładem jest zespół Arctic Monkeys, który przyjeżdża do nas w tym roku po raz trzeci. Istnieje od 20 lat, tak jak Open'er i w zasadzie nie był tak popularny, jak obecnie. Jego świetne płyty sprzed 10 lat, jak np. AM odkryło nowe pokolenie. Chcemy pokazywać to, co dla kolejnych pokoleń jest dziś ważne, kultowe, na czasie i w trendach. A nie grać swój ulubiony zespół sprzed 15 lat, którego nikt poza nami już nie słucha. Często spotykam się z niezrozumieniem i pytaniami, dlaczego w programie Open'era tak dużo jest muzyki hip-hopowej i rapu. Odpowiedź wydaje się oczywista. Open'er jest, był i będzie o muzyce, która jest w danym momencie istotna, progresywna, mówiąca o rzeczywistości. I można to lubić lub nie, ale trzeba zaakceptować. Oczywiście z ukłonem do historii. Nasze tegoroczne gwiazdy są odpowiedzią na współczesny świat.



**MzK:** Czy goście, zespoły, artyści, muzycy to tylko Twój wybór, czy konsultujesz się z kimś? Masz doradców?

**MZ:** Na proces selekcji repertuaru festiwalowego składają się trzy, mające znaczenie, elementy. Pewną część programu wybieram samodzielnie. Poza tym, w ramach zespołu, czyli osób zajmujących się muzyką w firmie, dyskutujemy o programie. A trzecim elementem – są oczekiwania publiczności. W poznaniu ich pomaga nam przeprowadzana co roku ankieta. Głosują w niej dziesiątki tysięcy ludzi. To bardzo ważny wskaźnik dla nas. Dodatkową, nie mniej istotną zmienną, są możliwości rynkowe, czyli: kto jest w danym roku w trasie, kto wydał nową płytę. Z wieloma zespołami, artystami, przyjazd planujemy z dwu-, a nawet trzyletnim wyprzedzeniem, choć czasami i te plany ulegają zmianie. Owszem historia, renoma pomagają. Jeśli jest się czujnym, śledzi się to, co dzieje się na rynku, dba o nowości, wówczas można utrzymać się w czołówce.



**MzK:** Był czas, kiedy i teatr miał swoje miejsce w programie. Pierwsza jego edycja na festiwalu miała miejsce już w 2012 r. Od tego czasu pojawiał się rok rocznie jako stały punkt Waszego programu. Jak podkreśliłeś w jednym z wywiadów w 2019 r. niezwykle ważnym elementem Open'era są dyskusje na tematy ważne społecznie. Powiedziałeś, że „festiwal nie zwalnia od myślenia, a nawet powinien do niego pobudzać”. Dlaczego odszedłeś od prezentowania teatru?

**MZ:** 2022 rok był pierwszym – i mam nadzieję – ostatnim bez prezentacji teatru. Wydarzyło się tak z bardzo prozaicznych przyczyn. Teatr na Open'erze jest niezwykle droгим elementem programu. Po pandemii, po dwóch latach bez regularnego festiwalu, ponoszenie kosztów dodatkowych aktywności stało się dla nas niemożliwe. Stąd ta decyzja. Ale mam nadzieję, że w tym roku – nie chcę zapeszać – teatr powróci na Open'era. Jestem dobrej myśli.

**MzK:** Pochodzisz z Gdyni, dlatego na miejsce festiwalu wybrałeś właśnie tamte okolice?

**MZ:** Jest kilka powodów. Przede wszystkim Gdynia jest świetnym miejscem ze względu na geografie, bogatą infrastrukturę hotelową (od hosteli po hotele pięciogwiazdkowe) w niedalekiej odległości jest też Gdańsk i Sopot. Urodziłem się w Gdyni – mój sentyment do tego miejsca miał tu również znaczenie. Choć warto przypomnieć, iż pierwsza edycja Open'era odbyła się w Warszawie. To był dobry plan, by tego typu event odbywał się nad morzem. Przełom czerwca i lipca to początek wakacji i świetny argument, aby wyruszyć ze swoich miejscowości. Dla wielu osób jest to jedyny wyjazd nad polskie morze. Lokalizacja zyskała swojego letniego ducha. Ponadto Open'er od początku nie miał być jednorazowym, lecz cyklicznym wydarzeniem. Ważnym czynnikiem sprzyjającym była – i wciąż jest – otwartość na nowości, probiznesowe, przychylnie nam władze miasta, których nowoczesne myślenie o kulturze, nas wspiera. Cała północ taka jest. Stąd ten kierunek.



**MzK:** Jakie są plany na Opener'a na kolejne lata? Co jeszcze chciałbyś osiągnąć w ramach tej imprezy? W którą stronę będzie ewoluował Open'er?

**MZ:** Filozofia Open'era raczej się nie zmieni. Każda edycja jest wypadkową tego, co chcemy pokazać i tego, co chcą usłyszeć ludzie. Chcemy łączyć to, co jest najpopularniejsze w muzyce z tym, co jest najlepsze. W kulturze istotną rolę odgrywają kuratorzy, przewodnicy kulturalni, którzy pokażą co warto poznać. Przy tak łatwym, powszechnym teraz dostępie do nieograniczonej liczby artystów, okazuje się, że paradoksalnie ludzie słuchają muzyki mniej zróżnicowanej niż wówczas, kiedy musieli kupować płyty. Nasza rozciągnięta w czasie formuła ogłaszania programu Open'era, choć krytykowana, ma na celu właśnie to, by potencjalni słuchacze mogli zapoznać się z artystami, których jeszcze nie znają. Może kogoś coś zaintryguje. Nie uciekamy od mody, musimy reagować na zmiany i nowości. Nie odrzucamy też rzeczy popularnych z głównego nurtu. To się nie zmieni w Open'rze. Chcemy pokazywać najlepsze, najciekawsze, ale też największe zjawiska muzyczne na świecie. Poza tym, z racji swojej konstrukcji, Open'er musi być duży i międzynarodowy.

**MzK:** W czasie organizacji festiwalu wiele rzeczy może zaskoczyć. Co dla Ciebie było najtrudniejsze, a co Ciebie ucieszyło?

**MZ:** W zasadzie chyba niewiele jest takich rzeczy, które by mnie zaskoczyły. Szczególnie widać to po ubiegłorocznej masowej ewakuacji z powodu wielkiej nawałnicy w czasie Open'era. Tak, to było ogromnym wyzwaniem i testem dla nas, dla mnie – musiałem podjąć tę decyzję, co było ostatnio najtrudniejszą sprawą. Poza tym też kryzys covidowy i nagły wzrost zachorowań, paraliż lotnisk. Liczba nieprzewidzianych wydarzeń, choćby w 2022 r., powoduje, że kiedy organizujesz festiwal to nic Ciebie nie może zaskoczyć. Mieliśmy np. przypadek, kiedy piorun trafił w samolot wiozący artystów. W ubiegłym roku zaś jeden z odwołanych rejsów miał przywieźć ekipę niezbędną do obsługi zespołu, a my musieliśmy znaleźć sposób, by przetransportować ich do Gdyni. Musisz być przygotowany na wszystko, a na wiele rzeczy nie masz po prostu wpływu i to trzeba przyjąć. Mimo wielu lat doświadczeń, to jest duży stres. Festiwal to żywa materia w ogromnej skali. Natomiast nieustannie cieszy mnie, kiedy uda się zamknąć kolejną edycję wydarzenia. To, co robimy, to opowieść o emocjach. Przekazujemy w końcu niematerialne dobra, budujemy chwilę. Miłe jest, kiedy widzimy efekty naszej pracy – miasto festiwalowe. To jest wspaniałe i nieustannie mnie cieszy!

**MzK:** Niech Open'er będzie zawsze tak różnorodny i rozbudowany jak dotąd, podążając z duchem czasu. Bardzo dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiał Marcel z Kraśnika**



# W następnym numerze

Wracamy już we wrześniu! Wówczas zapraszamy do Nowego Jorku! Miasta, które nigdy nie zasypia. Żyje, pulsuje, oddycha! W numerze wywiad z nową dyrektorką artystyczną American Ballet Theatre – Susan Jaffe. Recenzje obecnie najbardziej „gorących” musicali Broadwayu, a także krótka historia tejże ulicy usianej życiem teatralnym. Dopełnienie to kuchnia amerykańska, a także filmy – nieoczywiste – z Nowym Jorkiem w roli głównej. Do zobaczenia!

*Redakcja*

[Benjamin Paschalski]

[EL Kyōju]

[Nina Nowak]

[Kulturalny Cham]

Wiktor Jasionowski

[Marcel z Kraśnika]

# Magazyn Kulturalnego Chama

Napisz do Nas!

[kulturalnychamblog@gmail.com](mailto:kulturalnychamblog@gmail.com)

530-222-257

[kulturalnycham.com.pl](http://kulturalnycham.com.pl)



Kulturalny  
Cham